

— Niekroć stykam się z Panią w teatrze czy telewizji, stwierdzam nieodmiennie, że jest Pani zawsze prawdziwa. Czy jest to sprawa aktorskiej intuicji, czy też przemyśleń i analizy roli?

— Wszyscy staramy się być prości, jednym się to udaje bardziej drugim mniej. A rola rodzi się i rośnie w trakcie pracy. Może i można przyjść z gotową koncepcją i ją realizować — dla mnie najciekawsze jest odkrywanie mojej prawdy na temat postaci, z którą mam przejść do premiery — z próby na próbę. Nie interesuje mnie natomiast sztuka transformacji, chociaż nawołują do niej niektórzy krytycy, a zwłaszcza panie krytyczki. Nie interesuje mnie w teatrze odprawianie modłów do podpatrzonych typków z życia, które są tylko karykaturą człowieka i niczym więcej. Tak, interesuje mnie w teatrze tylko i wyłącznie to, co aktor ma do powiedzenia od siebie o życiu. I wtedy możemy mówić o prawdzie w danej roli.

— Czy tak stworzona postać „utrwała się” w premierowym spektaklu i taka już pozostaje poprzez wszystkie przedstawienia?

— O premierowych spektaklach wołę nie mówić. Jest to konieczne zło, które trzeba przejść i sądzić, że są to przedstawienia najmniej udane. Ja osobiście premierę prasową przelkam jak niesmaczne lekarstwo. Fakt, że się jest w tej chwili ocenianym, klasyfikowanym — deprymuje. Teatr zmienia się w szkołę powszechną, w której nauczyciele w dodatku bardzo nie lubią dzieci. Drugi etap pracy, która daje nam zadowolenie, zaczyna się w parę przedstawień po premierze, kiedy opadnie fala niepokoju, nadmiernej ekscytacji, kiedy trema zejdzie do normalnych rozmiarów. W moim pojęciu nie ma dwóch identycznych spektakli. Oczywiście różnice, zmiany, odchylenia minimalne, zauważalne tylko dla nas wykonawców — są. Bywa, że raptem w trakcie przedstawienia łowimy ten jędyny, właściwy sens zdania czy myśli, akcent na słowie, którego poszukiwaliśmy w trakcie prób. Ale trudno to nazwać pracą nad rolą. Nazwałabym to raczej odkrywaniem rzeczy nowych, mogących skorygować rolę.

— Gdzie, wobec tak jednoznacznej opinii na temat krytyki, szuka Pani opinii swojej pracy?

— Interesuje mnie opinia kilku osób, którym ufam. Zaś ostateczną oceną jest dla mnie zawsze zdanie człowieka, który przez 5 czy 6 tygodni cztery godziny dziennie przypatruje się pilnie tej pracy i w tej pracy mi pomaga — reżysera.

— Jest to jednak człowiek, który znajduje się, można by rzec, „wewnątrz” spektaklu. Nie ma więc spojrzenia z dystansu.

— Nie wydaje mi się. Dobry reżyser wie o nas najlepiej.

— Co Panią najbardziej w teatrze pasjonuje?

— Chyba to, że każda rola jest nowym zadaniem, w rozwiązaniu którego tzw.

KAŻDA ROLA JEST PRZYGODĄ

Rozmowa
z ZOFIĄ KUCÓWNĄ



praktyka czy technika niewiele pomagają. Właściwie ciągle jesteśmy przed debiutem. Każda rola jest również pasjonującą przygodą, ciąglem podejmowaniem ryzyka, sprawdzaniem się. To powoduje, że jesteśmy ludźmi żywymi — ale nerwowymi i zamkniętymi we własnym kręgu. Tkwiąc w tym środowisku już paręnaście lat zaczynam wątpić, czy my naprawdę interesujemy się światem i ludźmi, czy tylko sobą. Cała bowiem nasza uwaga skierowana jest na nas samych, bo jesteśmy również my, nasze ciało instrumentem sztuki, którą wykonujemy.

— Jednym słowem specjalny rodzaj narcyzmu. Nie sądzi Pani, że jest to w ogóle choroba artystów?

— Może i tak. Ale malarz odchodzi od skończonego obrazu, muzyk również odrywa się od swego dzieła. My nie. Dlatego bywamy pozbawieni krytycyzmu. I dlatego jest tak przykro, gdy się nam rola nie uda. Pisarz może nieudane dzieło zamknąć do biurka. My po negatywnej ocenie naszej pracy musimy pokazywać się każdego wieczora przez 80 przedstawień.

— Wtedy pomaga chyba ów brak krytycyzmu?

— Tak sądzę. Czeplamy się wówczas tych, którzy spróbują, a tacy znajdują się zawsze. Właściwego stosunku do roli nabieramy dopiero po jakimś czasie, gdy zdolni jesteśmy złapać dystans. Czasem to się dzieje po kilku już przedstawieniach, czasem o wiele, wiele później.

— Czy wrażliwości na te sprawy, ich przeżywania nie niwelują lata pracy? — Tak, na ogół osłabiają reakcję na krytykę, ale wzmacniają poczucie odpo-

wiedzialności i tremę. Nie wiadomo, co gorsze.

— Gdy przyglądam się Pani rolom teatralnym myślę, że do ulubionych można by zaliczyć chyba wszystkie: i „Pannę młodą w „Weselu” telewizyjną pannę Julię czy Sonię w „Zbrodni i karze”, Zonę w „Nieboskiej”, Gertrudę w „Hamlecie”, Maszę w „Trzech siostrach” a ostatnio piękną i bogatą wewnętrzną Lady Makbet w spektaklu Hanuszkiewicza.

— Jest przedstawienie, które szczególnie wyróżniam. To właśnie „Trzy siostry” Czechowa.

— Była tam Pani jako Masza taka wesola, powieiedziałabym rozluźniona, jak się Pani śmiała! Zapamiętałam sobie Pani śmiech z tego spektaklu, który bardzo mi się podobał, choć część krytyki wysuwała zastrzeżenia odnośnie potraktowania klasyka.

— Tym razem mniejszość. Na ogół przedstawienie zostało zaakceptowane. A my lubimy je. Po „Hamlecie” i „Makbecie” jest to relaks. Odczuwamy przyjemność obcowania na scenie z sobą, tekstem, ludźmi, których tworzymy.

— To emanuje z tego spektaklu, a przecież jest to w istocie bardzo gorzka w swej wymowie sztuka — jak wszystkie Czechowa.

— Wtedy panie o goryczy, zawiąniętej w tej sztuce? Niech się pani przyjrzy jej bohaterom. We wszystkich tych ludzłach jest tylko pozorna walka ze swą egzystencją. Są, można by rzec rozkładający w swym życiu, które stworzył sami, lub narosło wokół nich. Nie czynią żadnego wysiłku, wewnętrznie pogodzeni tylko narzekają. Dlatego Hanuszkiewicz zobaczył ich w kategoriach komicznych. Są tragiczni przez swoją śmiešność. Zarzucano Hanuszkiewiczowi, że

nie oddał kolorytu epoki, ale przecież nie o to chodziło. Wytworzyliśmy sobie szereg stereotypów na temat stylu życia ubiegłych epok i bardzo lubimy oglądać je na scenie.

— A gdzie szuka Pani azylu przed wyczerpującą nerwowością teatru?

— Gdy nie mam prób, wyłączam się z tego zawodu. Do mojej świadomości nie dociera wtedy fakt, że jestem aktorką — i to jest właśnie najlepszy azyl. Wtedy szczęśliwa jestem, że mogę zajmować się domem, czytać, biegać „na kumy”, załatwiać zaległe i niezaległe obowiązki nie-zawodowe.

— Mówi Pani o domu jak o azylu. Nasz wiek XX nerwowy, rozpedzony zdaje się o tym zapominać, powoduje rozluźnienie więzi międzyludzkich. Dlatego za bardzo cenny i społecznie potrzebny uważam cykl telewizyjnych miniatur pt. „Opowieści mojej żony”, przygotowany przez Hanuszkiewicza, z Panią w roli żony. Jak narodziła się koncepcja tej serii?

— Pewnej niedzieli byłam zajęta robieniem obiadu, przyszedł Adam, przewrwał mi robotę i odczytał na głos „Porzeczki”, zamieszczone w Życiu Warszawy. Śmiałam się i byłam wzruszona: „Kto to napisał?” — „Żuławski”. A potem czytaliśmy każdej niedzieli następnego opowiadania. Odnaleźliśmy tam swoje domy, swoje babcie, dziadków, stare ciotki. Szło z tych opowiadań ciepło. Szła tęsknota za takimi domami, których już nie ma.

— Słusznie dostrzeżono w opowiadaniach Żuławskiego pewne pokrewieństwo z „Profesorem Tutką” Szaniawskiego. Leży ono chyba w tym, że chodzi tu nie tylko o anegdotę, dosłowny zapis życia, rozmów przy stole, lecz o przekazanie prawd prostych, a często ważnych. Np. pierwszy odcinek: „Wizyta” — to rzecz o roli ludzi starych w naszym życiu. Myślę, że dziś istnieje szczególna potrzeba mówienia o tych sprawach.

— Gdy pojawiły się pierwsze odcinki „Opowieści” jeszcze w programie II, podniosły się głosy literatów, że nie jest to literatura wielkiego formatu. Dziwiło się, że Hanuszkiewicz po „Panu Tadeuszu” sięga po „Opowieści mojej żony”. Tymczasem w moim pojęciu również jest to serial społecznie bardzo potrzebny. Świadczą o tym listy widzów, których otrzymujemy mnóstwo. Listy wzruszające, bo pisane tak, jak się pisze do ludzi bliskich, których się bardzo lubi. Okazuje się, że nie samym Joycem ludzie żyją...

— Na koniec pytanie może trochę przewrotne: co Pani sądzi o teatrze Hanuszkiewicza?

— Jestem z tym teatrem związana bardzo długo, jeszcze od czasu Teatru Powszechnego. Aprobuję go nie tylko zawodowo, ale i uczuciowo. Hanuszkiewicz jest moim mężem, wszystko co robi, pasjonuje mnie, razem przeżywamy niepowodzenia, wspólnie cieszymy się ze zwycięstw. A na szczęście jego talent oszczędził nam, jak na razie, dużych klęsk. Tu odstukuję trzy razy w niemalowane drzewo — bo jak każda rozumna kobieta jestem oczywiście przesądna.

Rozmawiała: KRYSZYNA STARCZAK